Rozmaitości

Dnia 11. Marca **Nr 10.** 1837 Roku.

CMENTARZ
KSIĘDZA LA CHAISE W PARYŻU.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(Z Wiener Zeitschrift für Kunst, Literatur, Theater, und Mode.)

Od kilku tygodni przyjechałem piérwszy raz do Paryżu. Ojciec mój umarł w łecie. Wszyscy, którzy znali tego dobrego starca i miłość moję ku niemu, lękali się o mnie. Nalégano bym podróżował, a nawet byłoto życzeniem mojéj matki. Uległem powszechnym naléganiom i wybrałem Paryż za cel mojéj podróży. Tam w téj wiecznie odmieniającéj się powodzi życia mniemałem, że prędzéj o smutku zapomnę, niżli w zaciszu natury, która właśnie, iż to była jesień, swój wielki obchodziła pogrzeb. Omyliłem się. Smutek jestto największy samolub, tylko w prawdziwém lub zmyśloném współczuciu drugich znajduje ulgę. Serce moje nie mogło się rozweselić i rozognić temi zgiełkliwémi zabawami Paryża i temi zimnémi twarzami ludzi, co jak cienie przesuwali się koło mnie. Stawałem się coraz smutniejszym. Jedynym moim pocieszycielem był pewny mój ziomek, młody lekarz, który kończył nauki w Paryżu. Radził mi, bym zrobił wycieczkę w głąb Francyi, bym Havre-de-Grace zwidził. Tam mógł mnie ożywić widok morza, rozmaite sceny portowe mogły przyjemnie działać na mój umysł, a przede wszystkiém owo wielkie wrażenie, jakie sprawia wschód i zachód słońca na morzu. Za dwa dni miałem wyjeżdzać. Ale wprzódy chciałem sobie sprawić przyjemność, któréj umyślnie dotąd unikałem, to jest chciałem cmentarz księdza *la Chaise* odwidzić. Udałem się tam nazajutrz z rana. Na Paryżu spoczywała mgła lekka, jak ubior poranny ładnéj kobiéty. Przeszedłem przez *Palais royal*, koło Tuileryjów i mostu *Pont neuf*, i tam koło posągu nieśmiertelnego Henryka IV., jednemu ze ślepych, ktorzy od piesków swoich prowadzeni, po zagrażających życiu ulicach bezpiecznym krokiem się snują, kazałem sobie dalszą pokazać drogę. Nareszcie dostałem się na cmentarz, który swojemi świątyniami, obeliskami, urnami i grobowcami, swojemi gaikami cyprysów, tak mile do wnijścia zachęca. Spokojną i wypogodzoną jest tam obecność, przeszłość i przyszłość. Tu Abelard i Heloiza wypoczywają po burzach miłości. Ondzie pod skromnym pomnikiem spi dziecko natury, Lafontaine, a tuż na przeciw niemu Molier. Byłem samotny w tym świecie wrażeń. Jakaś wzniosła ogarnęła mnie tęsknota, i donośnym głosem, jakto zawsze czynić zwykłem, gdy moje serce przepełnione, zaspiéwałem sobie wrotkę pewnéj piosenki:

O ma patrie,
O mon bonheur,
Toujours chérie,
Tu rempliras mon coeur!

Nagle z marzeń moich wyrywa mnie zasłyszane westchnienie, oglądam się do koła, nie daleko ode mnie stoi dziewica, z książką do nabożeństwa i wlepia z rozrzewnieniem oczy na zasadzony różami grobowiec. Czegoż chce ta anielska niewinność w tém siedlisku smętnych fantazyj? Gróbże to najdroższéj jéj matki, przyjaciółki lub kochanka? Błogiem uczuciem pociągała mię do swéj osoby, tak dalece, że chociaż jako obcy przy jednym rozłączyliśmy się grobie, tośmy się znowu przy drugim znaleźli. Tym sposobem zeszliśmy się powtórnie przy grobie, mającym polski napis. Dziewica zapytała po polsku, czy rozumiem

ten napis. Tyle przynajmniéj domyśléć się mogłem z jéj kilku zrozumiałych mi wyrazów i z poruszenia jéj ręki. Odpowiedziałem po francuzku, że rozumiém znaczenie niektórych słów, ale mówić po polsku nie umiém. Wzruszyła ramionami. Przemawiałem do niéj po niemiecku, po włosku, po angielsku, nareszcie i po łacinie, ale wszystko zaprzeczała głową, w końcu nawet z jakąś niechęcią. Serce moje pragnęło rozmawiać z nią. Była tak piękna, jak anioł. Wzrostu słusznego, wysmukła, pełna powabu. W rysach jéj twarzy malowały się naturalność i zadumanie. Kolor jéj lica był blady i cierpiący. Przede wszystkiém zaś zachwycał ogień błękitnych ócz jéj, ułagodniony pełném smętności spojrzeniem. Jéj młodość, a przytém powaga postaci, jéj łagodność i te tak widoczne cierpienia, wreszcie myśl owa, że się niczego od niéj nie dowiém, niczego jéj udzielić nie zdołam, dotykały mię boleśnie. Poźniéj dopiéro spostrzegłem przy jéj boku jakąś podeszłą, dość przyjemną damę; byłato jéj ochmistrzyni. Zatrudniony piękną nieznajomą, przeoczyłem tę drugę. Przemówiłem do ochmistrzyni, a ta odpowiedziała mi kilka grzeczności czystą francuzczyzną. Odtąd jużeśmy się nie rozłączyli. Ponieważ dészcz padać zaczął, usiedliśmy pod piramidą, nie daleko grobów Lafontaina i Moliera. Ochmistrzyni była tłumaczem. Lubo rozmowa moja z dziewicą była obojętną, i lubo nie rozumiałem jéj wyrazów, ton jéj głosu głęboko jednak wciskał się do mojego serca. Jakżeto wszystko, co ochmistrzyni o niéj opowiadała, rozrzewniającém było:

»Rodzice téj pięknéj dziewicy (mówiła) pochodzą ze znakomitego polskiego rodu, i byli szczęśliwi miłością. Przed rokiem umarła matka. Od tego czasu ojciec z jedyną córką swoją bawił w południowéj Francyi, dokąd sprowadził go cierpiący stan jego dziecka. Panienka ta wychowana od ubóstwiającéj ją matki w nieograniczonéj do ojczyzny swojéj miłości, w miłości dochodzącéj do takiego stopnia, że lubo ma udowodnione talenta, żadnego jednak obcego języka ani uczyć się ani mówić nim nie chce, od śmierci matki cierpi mocno na piersi, a melancholija, jak gad jadowity, zatruwa wesoły niegdyś jéj umysł. Najmiléj przebywa na cmentarzach i przy grobowcach, a od czasu krótkiego jéj pobytu w Paryżu, cmentarz księdza *la Chaise* stał się jedyném i codzienném prawie miejscem jéj przechadzki.« Miałem plan Paryża przy sobie. Podczas gdy dziewica różanémi paluszkami wskazywała pomieszkanie swoje na mapie, wyrzekłem w zapale słowo po niemiecku, które przypadkiem zrozumiała i ztąd zawiązała się między nami rozmowa o podobieństwie obu języków, niemieckiego i polskiego. Wyjąłem pulares i napisałem kilka wyrazów niemieckich, pod którémi ona podpisała drzącą ręką te same wyrazy po polsku, które ja odtąd jak świętość jaką przechowuję, choć już do połowéj się starły. Od dawna nie byłem tak prawdziwie szczęśliwym. Lecz słońce rozpędziwszy mgły poranku zaczęło przypiekać i oddaliło nas z tego »ogrodu spokojności.« Z trudnością tylko rozłączyłem się z damami. Wychodząc z cmentarza, zatrzymałem się. Lekko wskoczyła do pojazdu i z uniesieniem spostrzegłem, że raz jeszcze obejrzała się za mną. Z turkotem potoczył się powóz i — może na wieki — pochłonęło ją miasto.

Jak sen przyjemny otaczała mię ciągle ta tak pięknie przeżyta godzina. Nadobna Polka stała mi wciąż przed oczyma. Chcąc się rozerwać wsiadłem po obiedzie do kabryjoletu, który piorunem zawiózł mię do Wersalu, tego sławnego miejsca schronienia Ludwika XIV., gdy go 1649 powstańcy, znani pod imieniem *fronderow*, ze stolicy wygnali. Tam zbiegają się razem wszystkie owe wielkie, szérokie i przepyszne gościńce, będące ozdobą Francyi. Jak daleko tylko oko dosięga, spoczywa na kolejach do Niemiec, do kwitnącego Bordeaux, do Kaletu, tego klucza godnéj zazdrości krainy Brytonów. O jakże często musiał tu Ludwik wielki przesiadywać i serce swoje górnolotnemi radować planami!

Wszedlem do galeryi obrazów i stanąłem przed jedném arcydziełem w myślach zatopiony, gdy w tém za sobą głośno mówiących usłyszałem. Głos ten bardzo mi znajomym być się zdawał. Trwożnie oglądnąłem się z bojaźni, by to złudą nie było, lecz nie — onato była w istocie, owa cierpiąca niewinność z cmentarza księdza *la Chaise*. Szła obok podeszłego mężczyzny, swojego ojca, który ją pod ramię prowadził. Ochmistrzyni nie było przy niéj. Po między obcymi nie ma różnicy stanu, wdałem się przeto w żywą rozmowę

z jéj ojcem. Była jeszcze piękniejszą, jak z rana. Błękitna materyjalna suknia opływała smukłą jéj kibić. Skromny, ale kosztowny kapelusz ryżowy, z pod którego bujne jasnych włosów upłoty, jak złotawa siatka na twarz spadały, okrywał jéj miłą, cokolwiek dumną głowę. Gdy mnie ujrzała, rumieniec na blade jéj lice wystąpił. Jéj wzrok był pełnym uroku! Byłbym chętnie do nóg jéj upadł, gdyby dwakroć powtórzone pytanie jéj ojca nie było mnie rzeczywistości i jéj cierpieniom powróciło. Ojciec miał odznaczające się rysy twarzy. Nos orli ocieniał śmiało uformowane usta. Głębokie bruzdy na czole, oko duże, żywe, ale niespokojne; postawa silna, dumna, lecz pochylona cokolwiek, znamionowały doświadczonego wychowańca losu. Mówił o córce z pewném rozrzewnieniem, z pewną namiętnością, i ach! nie wiedział jak uważnego, jak zajętego jego opowiadaniem miał we mnie słuchacza. Kiedy tak rozmawiał ze mną, córka jego tymczasem ze łzami w oczach przypatrywała się bądź wyobrażeniu śmierci Correggia, bądź skonowi Atali z Chateaubrianda: »Miłości dwojga dzikich na pustyni,« bądź wzrokiem pełnym zapału wskazywała bohatérską Porcyję. Tak więc ten przepyszny zbiór obrazów w Wersalu, mieszczący rozmaite sceny z historyi, stał się dla nas źródłem radości i smutku, miłości i wstrętu, słowem źwierciadłem serc naszych!

Drażliwy stan cierpiącéj córki niepokoił ojca o jéj zdrowie. Nie chciał dłużéj bawić w galeryi i odeszliśmy do naszych powozów. Raz jeszcze żegnać się z nią musiałem. Nie wiém, co mówiłem hrabiemu, co on do mnie powiedział. Wzrok mój tylko na jéj wzroku spoczywał. Ulotny rumieniec zniknął z jéj twarzy. Wsiedli, ja ukłoniłem się nizko, położyłem prawą rękę na sercu, a pojrzawszy w górę już nie widziałem ich, już ich z ócz moich spienione rumaki uniosły. Zapłakałem gorącą łzą wiecznéj, niebiańskiéj miłości, rzuciłem się w powóz i powróciłem także do Paryża, gdzie dopiéro późno w nocy pociechę i spokój na mojém łożu znalazłem.

Gdym się ocknął, było już dobrze na dzień. Był to prześliczny ranek. Chciałem raz jeszcze odwiedzić ogród botaniczny. Z rozkoszą przeglądałem się tam tak swojskiemu, jakoteż zagranicznemu królestwu zwiérząt i roślin. Przypatrywałem się właśnie licznemu zbiorowi ptaków, gdy na raz hrabia polski z córką swoją i ochmistrzynią, jak gdyby z ziemi wyrósłszy, pojawił się koło mnie. Ojciec ucieszył się moim widokiem. Córka w całéj postaci swojéj zdawała mi się jeszcze więcéj cierpiącą. Jéj gwałtowne wznoszenie się piersi, jéj zaczerwienione oczy, napawały mię trwogą śmiertelną. Przechadzając się po ogrodzie, rozmawialiśmy szczególnie o podróżach. Dawała wielką baczność na moje wyrazy i kilkakrotnie o ich znaczenie pytała ojca. Opowiadałem, że nazajutrz do Havre-de-Grace jechać zamyślam. Jeszcze więcéj pobladła, a ochmistrzyni zapytała z pośpiechem, kiedy powrócę. »Za siedm dni,« odpowiedziałem i widziałem szczęśliwy, jak promień radości zabłysł w oczach dziewicy. Przypadkiem w ciasnéj uliczce ojciec zagadawszy się z ochmistrzynią szedł naprzód. My szliśmy obok siebie w milczeniu, ale jakiż język zdoła to wysłowić, co nasze serca czuły, co nasze spojrzenia mówiły? Trzymała w ręku plan Paryża. Schyliłem się ku niemu. Z zarumienieniem pokazała mi cmentarz księdza *la Chaise*. Jéj paluszki nauczyły mię, bym się tam za dni siedm o drugiéj godzinie stawił. Dobyła z za gorsu dyjamentowy krzyżyk, bez wątpienia pamiątkę po matce, pocałowała go i wskazała ku niebu. Tu ojciec obróciwszy się ku nam, pożegnał się krótko, lecz serdecznie, wziął córkę po pod ramię, a ja—sam znowu zostałem.

Smutnie przez dzień cały siedziałem w pokoju mojego ziomka, obcy dla całego świata; lecz świat cały był w mojém sercu. Pożądaném było mi przedstawienie w teatrze włoskim Rossiniego: »Othella.« Przedmiot tragiczny téj opery stosował się do moich myśli. Z uniesieniem wciągałem w siebie czarodziejskie Rossiniego tony, upięknione nieporównaną sztuką nieśmiertelnéj Malibran. Wstęp jakże zachwycający! W piérwszych tonach wszystkie duchy miłości jawią się jak płomienie z ciemnic nocy i wszelkie zajmują uczucia. Cicho tlejąc, jak robaczek świętojański na grobie, dźwięczy przerażająca piosnka gminna: »Łąko ach! łąko zielona!« A gdy potém Desdemona trwożnym Othella zaklina głosem, by jéj życie darował, gdy z całym zapałem barw muzyki broni wierności i miłości swojéj, ach! wtedy każde serce cichym rozpływa się płaczem!

Przy wychodzie ścisk był niezmierny. Bez przytomności prawie uniesiono mię w ciźbie. W tém ktoś z lekka dotknął się mojéj ręki. Biorę za tę rękę, oglądam się i przeląkłem się prawie, ujrzawszy znowu moję nadobną Polkę. Ojciec ją prowadził, nie uważał mię, a jéj piękne oczy łzami były ocienione. Zapewne niezasłużony los Desdemony tak mocno wzruszył tę czułą istotę. Tłumy ludu rzednieć zaczęły. Jedno jeszcze uściśnienie ręki, a rozstaliśmy się znowu!

Nie mogłem usnąć. Jak lampa grobowa zaglądał księżyc do mojego pokoju. Naraz, tak się mi przynajmniéj zdawało, jakaś biała zapłakana postać wypłynęła z morza światłości. Poznałem tę postać; byłato moja nieznajoma z cmentarza. Skoczyłem do okna. Postać coraz więcéj niknęła. Jéj rysy twarzy zmieniały się w wizerunek mojéj oddalonéj matki. Nagle otworzyłem okno, lecz miasto Paryża, widziałem tylko cmentarz księdza *la Chaise*, a na nim w olbrzymiéj wielkości grób mojego ojca, z tak dobrze mi znanym i przeze mnie samego napisanym nagrobkiem. Pot zimny wystąpił mi na czoło. W pół omdlały rzuciłem się na krzesło i w sen letargiczny zapadłem.

Nazajutrz odjechałem do Hawru. Nie odważam się powtarzać tu raz jeszcze, co już tylekrotnie powiedziano w opisach portów morskich, o ciszy i burzach, o wschodzie i zachodzie słońca na morzu. Nie ośmielam się także kreślić opisania studni dziewicy Orleańskiéj w Rouen, lub pustelni Rousseau'a w Montmorency. Wszystkie te widoki zbyt pospiesznie przebiegłem; gorąca, wewnętrzna tęsknota ciągnęła mię do Paryża, gdzie późno wieczorem przybyłem; spieszyłem się, bo dzień następny, był siódmym. Ponuro, mglisto było na dworze. Naglony wewnętrznym niepokojem już z rana z domu wyszedłem. Przechadzałem się bez celu, bez myśli, za nim wyznaczona uderzyła godzina. Widok cmentarza kiędza *la Chaise* drzeniem mię przenikał. Śród mnóstwa mogił szukałem grobu Lafontaina. Nikogo na nim nie było, tylko grabarz kopał na boku grób świeży. Téj, którėj upatrywałem, nie było także przy grobowcu Heloizy. Wróciłem na grób Lafontaina i usiadłem na nim... Szczególna istoto, miałażbyś właśnie teraz nie dotrzymać słowa, gdy schadzka nasza raz piérwszy w życiu umówioną została? Ty miałażbyś nie przybyć, któraś mnie znalazła w tłumie ludzi, któraś mi się pojawiła o północy w mojéj samotnéj komnacie! Ginąłem z niecierpliwości. Już wybiła godzina trzecia, a jéj jeszcze nie było. Nareszcie usłyszałem turkot powozu. Pobiegłem ku bramie. Byłto rydwan pogrzebowy. Zaledwo zdołałem zapytać otaczających trunnę, kogo prowadzą, gdy ujrzałem hrabię polskiego i ochmistrzynię w sukniach żałobnych, wysiadających z pojazdu... To ona była! — Dotrzymała słowa, ale w trunnie! Z ojcem mówić nie mogłem. Zniknąłem między grobami i boczną drogą do domu uciekłem. Zastałem rzeczy moje do połowéj spakowane. Jak najspieszniéj zebrawszy wszystko co miałem, wkrótce siedziałem w powozie i z sercem zakrwawionem pożegnałem Paryż.

Długo bez przytomności prawie jechałem. Nareszcie boleść moja gorącémi wylała się łzami. Byłato prześliczna noc jesienna. Wonny dészczyk, padając na niwy, błogosławił je. W okolicy miasta Meaux widziałem rzadkie zjawisko tęczy nocnéj. Jak unoszące się dymy ofiarne widać było kolorowy, bladością duchów powleczony, i mdłém światłem księżyca ośrebrzony blask tęczy, migocący śród nocnych ciemności. Spojrzyj tu ukochana istoto z onéj gwiazdy, gdzie Heloiza Abelarda swojego wieczną i czystą miłością uszczęśliwia, gdzie i twoja niewinna, cierpiąca dusza zapewne schronienie znalazła! Duch mój zatapiał się nad onym nieodgadnionym przypadkiem, który mnie do téj lubéj przywiązywał istoty, a którą znalazłem, ażeby ją utracić; lecz tajemnicy téj wyjaśnić sobie nie mogłem. Stanąłem na krańcu wiedzy ludzkiéj. Serce moje pragnęło wylać się w słowa. Z płaczem wzniósłem oczy ku niebu i z cicha zanóciłem:

O ma patrie,
Tu mon bonheur,
Toujour chérie,
Tu rampliras mon coeur!

MENTELI.

Rys biograficzny, przez Karola Nodier.
(*Z dziennika: Le Temps.*)

W kwietniu r. 1824 gmach staréj zbrojowni w Paryżu dostał trzech nowych mieszkańców: pan St. Martin, z akademii *des inscription*

et belles lettres, był tam jako administrator, a autor niniejszego artykułu jako biblijotekarz posłany; trzecim mieszkancem był Węgrzyn, imieniem Menteli, któremu rząd dał przytułek w jednym zakątku tego gmachu. Z tych trzech ludzi ja jeden jeszcze jestem przy życiu, jeźli stan mój cierpiący życiem nazwany być może. Oczytany w dziejach Menteli, byłby mnie z pewnością porównał do Spartańczyka Othryadesa, który towarzyszy swoich dla tego tylko przeżył, by ich pochować.

Historyja życia Mentelego była nieprzeniknioną tajemnicą; na próżno chcianoby bliższych o nim szczegółów dowiedzieć się z przepełnionych, ale nie mających z sobą związku i rozwlekłych wylań jego serca, pisanych oprócz tego jeszcze rozmaitémi językami. Zaiste trudno zgadnąć, czy był prawnikiem, księdzem czy żołnierzem. To tylko o nim z pewnością wiadomo, że nikt tak jędrnego jak on, a jednak tak nierównego nie otrzymał wychowania, lub mówiąc raczéj, nikt lepiéj od niego nie umiał braku piérwszego wychowania zastąpić najobszérniéjszemi i najmozolniéjszemi pracami. Rozumiał wszystkie języki, takie nawet, o których uczeni często tylko z imienia wiedzą, i nie raz się chlubił, że bez tłumacza jest w stanie udać się aż do Chin, z jakiegokolwiek punktu Europy. Najwięcéj jednak języki: sławiański, arabski, perski, hebrejski, grecki i łaciński były u niego w używaniu i z połączenia tych języków, tak odmiennych od francuzkiego, utworzył sobie nie tylko w pisaniu, lecz w mówieniu także własny swój język; nie dla tego, iżby mu kiedy do wyrażeń się słowa francuzkiego brakować miało, lecz pomysły jego tak były szybkiemi, taką przytém miał obfitość w wysłowieniu się różnémi językami, że na raz do oznaczenia rzeczy jakiéj 60 coraz odmiennych wyrazów na myśl mu wpadało, i w téj gmatwaninie języków trudno było odgadnąć, co chciał w istocie powiedzieć. Dopiéro gdy uważał, że go jeszcze nie rozumieją, lubo długą litaniję swoich synonimów wyczerpał, natenczas zniżał się do wstrzymywania tego potoku swojéj uczoności i zdumiałemu słuchaczowi tłumaczył mowę swoję w sposób zwyczajny, z tym zwykłym dodatkiem: »A teraz tak powiém, jak wy wszyscy mówicie.«

Przed 13 lub 14 lat miano ten szczęśliwy pomysł, że użyto Mentelego do badań naukowych, do jakich on tylko jeden był zdolnym. Polecono mu w ogromnéj biblijotece oznaczyć język i treść wszystkich rękopisem, które uszły wszechwiedzy naszych uczonych i za tę ważną pracę wyznaczono mu honoraryjum 1800 fr. W miesiącu wymienił wszystkie języki, przełożył wszystkie tytuły, wszystkie książki uklasyfikował. Wziął miesięczną płacę i nie pokazał się więcéj. »Cóż z wćpana miejscem?« pytano go. — »Nié mam już miejsca,« odpowiedział, »bo robota skończona.« W dowód uznania pracy jego dano mu małą izdebkę w pałacu *Sully*.

Menteli nie żądał więcéj. Miał rocznego dochodu 154 frank. i pochlébiał sobie, że jeszcze coś złożyć potrafi. Widziałem sam nie raz, jak kłopocił się swojemi pieniądzmi, by je komu pewnemu powierzyć i jak się lękał przypadku; od kilku tygodni doznawał udręczeń bogactwa, bał się złodziei.

Z pomiędzy wszystkich nauk, któremi się tak czynnie zatrudniał, żadną nie zajmował się tak gruntownie, jak nauką dawnych filozofów. Plato mianowicie był jego wyrocznią; umiał go na pamięć i często w rozmowach przywodził; lecz w życiu praktycznem nie Platona, ale Dyogenesa brał sobie za przykład, a odwiedzający biblijotékę zwykle tém tylko mianowali go imieniem.

Cała garderoba jego składała się z jednego starego wojskowego surduta, który zdawało się, iż nigdy nowym nie był, a obuwiem jego były drewniane trzewiki. Gęsta, siwawa broda nadawała mu niejako postać włościanina z nad Dunaju, znanego z wizerunków Qeuvary i Lafontaina. Żywił się owémi wybiorkami chleba, jakie zwykle przy bramach koszar sprzedają i chyba tylko w dni świąteczne przymieszał do tego jadła korzonków z surowéj jarzyny; bo podobnie jak pierwsi ludzie, wcale ognia nie używał. W izdebce miał drewniane krzesło poręczowe, stołek i kuferek na książki i papiéry; lecz sądzę, iż tę zbytkowe rzeczy zastał już w pomieszkaniu, a ze swojéj strony zaopatrzył się tylko w kałamarz i dwa gliniane dzbanki. Wyliczając jego ruchomości zapomnieć nie należy o dużym płóciennym worku, z którym co 14 dni po żywność wychodził, a który przytém za spiżarnię mu służył. Tento jest cały inwentarz jego rzeczy,

które po nim *fiscus* odziedziczył. Tak umiał gospodarować i do takiego stopnia oszczędność swoję doprowadził, że przed kilka laty uzbiérał był 400 frank., które użył na kupno pewnego rzadkiego rękopisma.

Może się kto zapyta, czy też nie można było poprawić losu temu zacnemu człowiekowi; śmiało odpowiadam, że to żadną miarą stać się nie mogło. W ciągu ostréj zimy posyłaliśmy mu drzewo, lecz przyjąć go nie chciał. Każdą darowiznę uważał za obrazę swego charakteru. W ostatnim miesiącu mówiłem z nim, iżbym potrafił może wystarać się mu o jaką małą pensyję. Odpowiedział z uśmiéchem: »Po co, mam już za nadto wiele.« To ztąd pochodziło, że Menteli w osobliwém życiu swojém urzeczywiścił wszystkie marzenia mędrców, i nie ćwiczył się, jak oni, li w teoryi mądrości, lecz ją i w praktyce wykonywał. Mimo tego potrafiliśmy jednak dać mu małe, ale czyściejsze i zdrowsze pomieszkanie od tego kąta, w którym od lat tylu przebywał, a ponieważ nie był przeciwnym téj łasce rządu, i wiedział, iż ona przynależy się mu za jego prace, z dziecinną zatém radością sprowadził się do tego pomieszkania. Ośm dni je tylko zajmował.

We czwartek d. 22. grudnia r. z. około godziny 3ciéj po południu, wyszedł Menteli, jak zwyczajnie, dla napełnienia w Sekwanie swych dzbanków. Woda była dosyć wezbrała. Filozof zbliżył się powolnym krokiem do ostatnich kończyn wyspy Louviers, w stronie od mostu *Maryi* i nachylił się ku wodzie. Napełniwszy jeden dzbanek i postawiwszy go na brzegu, drugi w rzéce zanurzył. Zdaje się, że mu przychodziło z trudnością wydobycie dzbanka z wodą, bo Menteli już się starzał, a sposób jego życia nie był wcale wzmacniającym. Sądzą zatém, że musiał lewą ręką oprzéć się o okręt, który woda ku piaszczystemu przygnała brzegowi, a który nie stał najmocniéj: dziwne roztargnienie u takiego uczonego, co przez całe życie zatrudniał się statystycznemi i dynamicznemi doświadczeniami, i co w tym względzie mógłby był nawet z Archimedesem spór toczyć. Poruszony okręt odbił się od brzegu, a nieszczęśliwy Menteli utonął w bałwanach rzéki. Wyrobnicy, składający w pobliżu sągi, wołali o pomoc; kilku majtków płynęło tamtędy, lecz ani słyszeli ich, ani uważali na to. Dopiéro w ćwierć godziny poźniéj starano się ratować go, ale już było za późno, nic nie znaleziono i chyba tylko zwłoki byliby wydobyli. Szukający go ludzie łatwo o stracie jego zapomnieli, wszakże był to tylko ów *dziki ze zbrojowni*, jak go powszechnie nazywano; nie wiedzieli bowiem, że ten dziki był jednym ze znakomitszych ludzi naszego wieku.

Menteli miał około lat pięćdziesiąt. Zostawił on, jak się domyślać należy, liczne pisma, ale niestety! może tylko tych kilka słów pożegnawczych przypomni o tym człowieku! Chcąc korzystać z dzieł jego, trzeba je **umiéć** czytać, a do czytania ich trzebaby znowu kogoś, którego już nigdy nie będzie, to jest — drugiego Mentelego!

DOBRY SYN.

Za czasów Ludwika XVI. we Francyi wyszczególniali się po między skarbowymi dzierzawcami mianowicie panowie d'Aucourt, obaj milijonowi, i obaj powszechne znaczenie mający. Byli uczynni, a gdy się wydarzyła sposobność, pomagali chętnie każdemu, lichwami nie niszcząc ludzi, jakto niektórzy ich koledzy mieli w zwyczaju. Bracia ci procesowali się z sobą, a to tak dalece rozjątrzało ich ku sobie, że starszy, będąc raz sam na sam z obu synami swoimi i miotając mnóstwo złorzeczeń, tudzież użalając się jak najmocniéj na swojego młodszego brata, w końcu tak dalece się zapomniał, że zawołał w gniewie: »Niktże mnie od tego łotra nie uwolni!« Pan d'Aucourt mniemał tu brata swojego. Synowie przekładali mu, ażeby się uspokoił, ale nie słuchał ich rady.

Nazajutrz o godzinie 8méj z rana, gdy sam w gabinecie swoim pracował, wchodzi najmłodszy syn jego, zasuwa drzwi za sobą i zbliża się ku starcowi z pomieszaniem na twarzy, tak dalece, że ten się go pyta, co mu jest: »Kochany ojcze! (rzecze młodzieniec) wezwałeś nas wczoraj, byśmy się na naszym stryju krzywdy twojéj pomścili, przychodzę więc, donieść ci...« — »Co, ja was wzywałem?« — »Tak jest, ty ojcze. Mówiłeś: Niktże mnie od tego łotra nie uwolni!« — »Prawda, że coś podobnego wyrzekłem... było to nierozsądnie z méj strony« — »Jakkolwiek bądź, wezwaniu temu uczyniłem zadosyć.« — »Ty? jako?... kiedy?« — »Dziś rano.« — »A brat mój?« — »Nie żyje!« — »Dla Boga, cóżeś uczynił!... zamordowałeś twojego stryja;... bo nie sądzę, ażeby z tobą w pojedynek się wdawał. Uciekaj... oto masz pieniądze, wexle bankowe, będziesz ich potrzebował.« Młody d'Aucourt schował do kieszeni 1000 luidorów, uściskał ojca, i już odchodząc, powoli ode drzwi się wrócił: »Czy mogę przyznać się? Mam długi...« — »Zapłacę je.« — »Wolałbym sam to, nim odjadę, uczynić. Wierzyciele moi gotowi bowiem krzyku narobić, a w takich okolicznościach.....« — »Rozumiém, tylko myśl o tem, ażebyś prędko odjechał... Bez wątpienia będą to znaczne summy, ale cóż robić...« — »Nie najznaczniejsze, najwięcej 80.000 franków.« Dzierzawca skarbowy idzie do kasy, wyjmuje 80.000 fr. w papiérach i westchnąwszy, synowi je oddaje. Uradowany w duchu syn ściska ojca, żegna się z nim i spieszy — nie w drogę za granicę, ale do swojego stryja, który zdrów jak ryba ani go na oczy nie widział i teraz odwiedzin jego wcale się nie spodziewał.

»Kochany stryjaszku! (rzekł wchodząc) ojcu mojemu już się sprzykrzyły te długie nieporozumienia i waśnie, i chciałby żyć w spokoju i zgodzie.« — »Co ty mówisz?« — »Rzetelną prawdę; przyznać się mogę, że tak długo nad tem pracowałem, aż się mi w końcu pogodzić was powiodło. Mój ojciec kazał prosić stryjaszka, byś dzisiaj był u niego na obiedzie. Stryjaszek pozwoli towarzyszyć sobie, nie prawdaż?« — D'Aucourt był w sercu rad téj zgodzie, wypytywał synowca, jak się to stało, a ten opowiedział, jak to wszystko pomyślnie poszło, i że on sam tylko jest nieszczęśliwym. »Dla czegoż, mój kochany synowcze?« — »Mam cokolwiek długów, ojciec mój urażony, że z takim zapałem mówiłem za stryjaszkiem, o długach moich nic wiedzieć nie chce...« — »Ileżto.

będzie tych długów?« — »Drobnostka.« — »No ileż?« — »Tak, blizko 80.000 liwrów.« — »Tam do licha, byłby to nie dla jednego porządnego człowieka ładny majateczek; trzpiotem jesteś mój panie synowcze... ale cóż robić, oto masz część żądanych pieniędzy, daj to wierzycielom, a na resztę niech zaczekają.« I znowu dwadzieścia nowych banknotów po 1000 frank. wpłynęło do kieszeni młodego człowieka. Filut nie posiadając się z radości, wysilał się w podziękowaniach. Tymczasem minął poranek, zbliżyła się godzina obiadowa, dzierżawca skarbowy każe zaprzęgać konie, przywdziewa suknie świąteczne i zajeżdża przed pałac brata.

Idzie po wschodach, meldują go, w salonie zastaje zgromadzonych kilkanaście osób na obiad; p. d'Aucourt wytrzeszczył oczy na przybycie brata i zaczyna domyślać się, że to jest sztuczka synowska. Tymczasem brat młodszy przystępuje ku starszemu, kłania mu się i szczęśliwym się mianuje, że brat nareszcie niesłuszność swoję uznał. »Niesłuszność... Co to ma znaczyć?« — »Kochany ojcze! (przerwał syn) ja to powiedziałem stryjaszkowi, jak wielce przyjaźń jego poważasz i...« — »Filucie, a powiedziałżeś mu także, żeś ode mnie wydrwił pieniądze.« — »Nie gniewaj się kochany ojcze, pódź tu kochany stryjaszku, uściskajcie się, lepiéj tak, jak owe wszystkie waśnie, procesa, potwarze, pojedynki i inne jeszcze nieprzyjemności.«

Goście przyłączyli się do prośby syna, a namowy ich zupełny skutek odniosły. Obaj bracia rozrzewnieni byli tym przypadkiem, a starszy d'Aucourt, będąc w zapale radości, opowiedział także i ową historyję z synem, która to pojednanie poprzedziła. Syn słuchając jak najobojętniéj tego opowiadania, rzekł w końcu: »Była to spekulacyja, jak wszystkie inne, z tą tylko różnicą, że z obu stron zyskałem, bo stryj mój, nie mniéj wspaniałomyślny...« I śród powszechnego śmiechu i pochwał ze strony obecnych, drugą część historyi opowiedział.

Z Krakowa. Pan J. H. S. Rzesiński, filozofii i obojga prawa doktor. wydał r. z. piérwszy tom dzieła: *W. B. Tennemanna: Rys historyi filozofii.* Autor, jak się z przemowy dowiadujemy, przetłumaczył dzieło pana Tennemanna podług 5go wydania A. Wendta, w Lipsku r. 1829 ogłoszonego; przełożył je będąc r. 1829 powołany do wykładania filozofii i jéj historyi w uniwersytecie Jagiellońskim. — Dzieło Tennemanna uznane jest za jedno z najlepszych. Szczególnie odznacza się przez swoję zwięzłość i krótkość. Nie jest tu miejsce zastanawiać się nad zaletami lub wadami rzeczonego Rysu. To jedynie nadmienić wypada, iż tłumaczenie jest bardzo dobre, wszędzie jasne i duchowi autora odpowiadające. (D.P.)

Z Warszawy. *Numizmatyka.* Ta gałęź naukowa dotąd u nas odłogiem leży. Wprawdzie Czacki grube onéj, że tak rzekę, przełamał lody, ale ileż jeszcze nie pozostaje do wyjaśnienia i uzupełnienia, a co większa do sprostowania wielu pomyłek przez samegoż Czackiego popełnionych. Dowiadujemy się, że jeden z tutejszych lubowników starożytności, pan J. Z., zamyśla wydać najzupełniejszy, ile można, systematycznie ułożony spis monet polskich, wraz z rycinami i ich wykładem, na źródłach historycznych i troskliwie przez niego zebranych ordynacyjach mennicznych opartym. Życzyć należy, aby zamiar ten przyszedł do skutku, oczekiwana bowiem od dawna ogólna numizmatyka sławiańska dotąd czczém tylko będzie życzeniem, dopóki monety pojedyńczych tego plemienia rozrodów zebrane, w wiernych wizerunkach i opisach udzielone nie zostaną uczonéj publiczności. Kuryjer Warszawski, umieściwszy tę wiadomość w N. 44. pisma swojego z r. b., dodaje w Nrze następnym: że pan K. B. już od lat kilku pracuje nad *Numizmatyką sławiańską*, i również, jak pan J. Z., zamyśla wkrótce wydać takową na widok publiczny. Dzieło to kosztownego wydania, ozdobione będzie herbami podskarbich i 50ciu tablicami *in 4to*, przedstawiającémi numizmata, ryte igłą na kamieniu zręczną ręką pana Krajkowskiego, litografa. Szósta tablica się wykończa, a 4 już są odbite.

Z Poznania. W przeszłym miesiącu zszedł z tego świata Wincenty Turski, za czasów Księztwa Warszawskiego komendant korpusu kadetów w Chełmnie, brat rodzony Wojciecha Turskiego, instygatora koronnego na sejmie wielkim, a poźniéj pułkownika w wojsku francuzkiém. Wincenty Turski ma niejakie zasługi w literaturze naszéj. W młodszym wieku swoim przełożył on na język ojczysty Loikę Kondyllaka i Pamiętniki Szoany o elekcyi Henryka Walezego na tron polski. Przekłady te są gładkie i nic zostawiają nic do życzenia; zwłaszcza Pamiętniki Szoany czytają się bardzo przyjemnie. W podeszłym już wieku rzucił się Turski do wydawania znajomego publiczności pisma peryjodycznego pod tytułem: *Weteran poznański* i do poematu pod nazwą: *Wiosna.* (G.P.)

P. Michał Kogolniczan, Multanin rodem, ma według wydanego prospektu ogłosić wkrótce drukiem w Berlinie, w księgarni Behra, gruntownie w języku francuzkim wypracowane: *Dzieje Multan i Wołoszczyzny.* Dzieło to, doprowadzone aż do mianowań hospodarami książąt Sturdza i Ghika, obejmować ma nowe szszegóły o języku, literaturze, prawach, handlu, obyczajach, instytucyjach i obrzędach multańsko-wołoskiego ludu.

Nie dawno w Londynie wyszło dzieło: *Travelling opinions ant Sketches in Russia and Poland, by Rawford Ramble.* Lubo to dzieło w ogóle cokolwiek powierzchownie pisane, zawiéra jednak wiele zajmujących i ciekawych szczegółów o obyczajach i zwyczajach mieszkańców Rossyi i Polski.

W Sztutgardzie przebywa teraz tak zwany poeta natury, drukarz w oficynie barona Cotty, imieniem Mikołaj Müller, a którego drobne poezyje były już w pismach publicznych umieszczone. Wkrótce w księgarni J. G. Cotty wyjdzie całkowity zbiór jego poezyj, pod tytułem: *Poezyje autodydaktyczne, napisane, sadzone i drukowane przez Mikołaja Müller.* Zapewne jedyna książka tego rodzaju w literaturze niemieckiéj, a może i w ogólnéj europejskiéj. Poeta ten był piérwotnie drukarzem, a gdy go z czasem na układacza *(zecera)* posunięto, żądał wkrótce by go na dawne miejsce powrócono, mówiąc: że jako układacz obowiązany jest cudzém zajmować się rękopismem, jako drukarz zaś działając li mechanicznie, ma więcéj wolnego czasu własnym się myślom oddawać. Widzimy w nim prostego człowieka, lecz właśnie szczęśliwego w téj swojéj prostocie, który utworzył sobie filozofiję życia, daleko lepszą od filozofii tych ludzi, co wszelkiemi sposobami piąc się do góry, nie chcą na tém, czém ich los obdarzył, poprzestać.

Morning-Chronicle mniema z dobrego źródła miéć wiadomość, że Ludwik Filip ma zamiar posłać okręt wojenny do S. Heleny, dla przywiezienia do Francyi zwłok Napoleona, i że rząd angielski miał dać już na to swoje zezwolenie. Rozpoczęte nie dawno układy w tym względzie z wielką popierano gorliwością, a rząd angielski, na wezwanie o to, z największą zezwolił chęcią.

Nowo odrodzone Ateny powstają z gruzów; ze wszech stron nowe podnoszą się budynki. Już tam widać przepych, modne powozy krążą po ulicach, a wkrótce trudno będzie poznać miejsc owych, które nie dawno jeszcze okryte były zwaliskami przeszłych, świetniejszych czasów. Port pirejski przedstawia całkiem odmienny widok; wznoszą się w około niego piękne gmachy, a łatwo i bezpiecznie wpływają doń okręty. Ukryte w domach prywatnych

starożytności zaczynają być na jaw wydobywane, w świątyni Tezeusza zakładają muzeum, a przedsiębrane w Akropolis kopania, doprowadzają do rozmaitych odkryć.

Nie dawno odczytany został w meczetach firman sołtana, obejmujący przepisy długości brody i wąsa, jakie poddani jego nosić mają. Pięć cali jestto prawna długość pierwszéj, drugi ma określony stosunek względnie do brwi każdego. Ponieważ i cerulicy są odpowiedzialni za rzetelne wykonanie tego rozkazu, trudno, aby się znalazła sposobność wyłamania się z pod niego, albowiem każdy cerulik, pełniąc swoję powinność, głuchy jest na wszelkie żądania i prośby, i tak nożyczkami lub brzytwą hercuje, aby przepisom stało się zadosyć. Gdy wkrótce po ogłoszeniu tego rozkazu, jeden z Turków protestował przeciwko takowemu, mówiąc: że temu co sam Bóg rosnąć dozwala, żadna ziemska władza przeszkadzać nie może; odpowiedział cerulik: »I głowy są darem boskim, a przecież nikt nie zaprzecza sułtanowi prawa ich ścinania.« Ten argument *ad hominem* sprawił najpożądańszy skutek.

Piszą, iż wyrabianie cukru z kasztanów stać się może tak ważnem, jak fabrykacyja cukru z buraków. Z kasztanów zyskać można 14 procentu cukru, czego buraki nie wydają.

Pewien Anglik zrobił odkrycie, że woda przeznaczona do prania bielizny, zmieszana z białą glinką, z któréj fajki robią, takiéj białości dodaje bieliźnie, jak gdyby dopiéro-co z blichu wyszła, i że taż jakkolwiek byłaby zabrukaną, prana z tą glinką, oszczędza do połowéj roboty, a przynajmniéj czwartą część mydła. Glinkę należy bądź zmieszać z przeznaczoną do prania wodą, bądź wraz z mydłem nacierać nią brudną bieliznę, co tak często powtarzać potrzeba, dopóki bielizna czystą nie będzie. Wszyscy ci, co tego sposobu używali, odkryciu temu pochwały oddają.

Za panowania Władysława IV. w Polszcze, toczyła się pewna sprawa w trybunale koronnym. Gdy od szlachcica, mającego w niéj udział jako ręczyciel, żądano, aby według przepisu konstytucyi okazał rękojmię i zapytano go, czy ma posiadłość? »A jakżci mam,« odpowie szlachcic; »wiedzą sąsiedzi, że od dawna mam żonę.« Odpowiedź ta pobudziła poważnych deputatów do wielkiego śmiéchu, ale rękojmi takiéj nie przyjęto.

Starożytni Polacy mieli, jakto mówią, niezmyślony apetyt. Zjeść naraz gęś całą, indyka, lub t. p. było u nich bardzo zwyczajną rzeczą. To też korpulencyja ich przewyższała naszę o sto procentów. Tryzna np., podskarbi litewski, tak był otyły, że na kontusz potrzebował 17 łokci sukna szérokiego. (G. P.)

Złoto i srébro. Wiek *srebrny* i *złoty* zdaje się znowu powracać. W Przybramie, w Czechach, odkryto żyły srébra, zatrudniające około 1000 górników; górnictwo i w innych miejscach Czech wydatnem się okazuje. Szczególnie obfity plon wydały w roku zeszłym kopalnie złota i srebra w Węgrzech, Ziemi Siedmiogrodzkiéj, Banacie i na Bukowinie, dostarczywszy razem 3.367 grzywien złota, a 12.473 srebra.

Kwestarka. Byłoto w Neapolu. Ubogi tancérz, Durante, za kulisami teatru *San Carlo* na apopleksyję zmarły, zostawił żonę i dzieci w najokropniejszéj nędzy. Pewna artystka z tegoż teatru przyrzekła najprzód wdowie tancérza, iż na jéj korzyść śpiewać będzie, a potém na każdego z przyjaciół swoich nałożywszy według majątku podatek dobroczynności, dumna względami, jakich u dworu doznawała, stawiła się nawet przed samym królem. »Najjaśniejszy Panie!« rzekła do króla, »zbieram jałmużnę dla rodziny mojego nieszczęśliwego kolegi Durante.« — »Uważam signora, że jéj serce jest równie piękne, jak jéj *głos*.« — »Najj. Panie, jestem kwestarką tylko... Królowa i książę Salerneński dali po pięćset franków; sądzę, że W. K. Mość nie będziesz mniéj hojnym, jak Jego dostojna familija.« — »Wieleż mam dać?« zapytał król z uśmiéchem. — »Tysiąc franków.« — »Oto są.« Wdowa jest teraz szczęśliwą, ale godna uwielbień kwestarka już nie żyje. Spoczywa w Bruxelli. Byłato powszechnie żałowana śpiewaczka Malibran.

Junak niewieści. Takim junakiem była śpiéwaczka La Maupin, we Francyi. Urodziła się r. 1675, należała do szkoły Lullego i wiodła krótkie, ale awanturnicze życie. Poszła za mąż za pewnego młodego bez utrzymania człowieka, a gdy ten dostawszy wreszcie posadę na prowincyi, tamże się oddalił, nie chciała mu towarzyszyć. Porzuciła go i udała się do fechtmistrza, którego sztukę w wysokim stopniu przyswoić sobie umiała. Pojechała z tym człowiekiem do Marsylii, gdzie z potrzeby musiała się do opery zaciągnąć, co, ponieważ dobrą była śpiewaczką, z łatwością jéj przyszło. Po upływie roku udała się do Paryża, tam r. 1693 wystąpiwszy najprzód w roli Palady, w operze *Kadmus*, otrzymała największe pochwały, i szczęście od tego czasu ciągle jéj sprzyjało. Obrażona przez śpiewaka Dumeni, przebrała się po męzku, czatowała na niego na placu *des Victoires* i wezwała na pojedynek. Gdy bić się wzbraniał, wypłazowawszy go dobrze, wzięła mu zégarek i tabakierkę. Nazajutrz, gdy się Dumeni chwalił, że trzem ludziom, obedrzéć go chcącym, się bronił, opowiedziała to zdarzenie i pokazała zabrane mu rzeczy. Ze śpiéwakiem Thevenart, podobnym obeszła się sposobem i musiał ją publicznie przepraszać, ukrywając się przed nią przez trzy tygodnie w *Palais royal*. Na balu, danym przez brata króla Ludwika XIV. wystąpiła także po męzku, a ponieważ nieprzyzwoicie względem jednéj damy znalazła się, więc trzéj przyjaciele téj pani wyzwali ją na pojedynek. Odkryciem płci swojéj byłaby walki uniknęła, lecz nie uczyniwszy tego, dobyła oręża i trzech przeciwników swoich trupem położyła. Potem jak najspokojniéj wróciwszy na salę, i opowiedziawszy królewskiemu bratu rzecz całą, upraszała go, by za nią wstawił się do króla. Po kilku podobnych przypadkach przeniosła się do Bruxelli, gdzie się poznała z elektorem bawarskim. Ten książę przysłał jéj przez hrabiego d'Arcos kiesę ze 40,000 liwrów, z rozkazem wszakże, by Bruxellę opuściła. La Maupin, rzuciwszy mu kiesę ze wzgardą, powróciła do paryzkiego teatru opery, który opuściła dopiéro r. 1705, połączywszy się powtórnie ze swoim dawnym małżonkiem. Odtąd żyła z nim na prowincyi, ale czas krótki tylko, gdyż r. 1707 w 32gim roku życia umarła.

Jeszcze słówko o grypie. Pisma niemieckie, z których wyjęliśmy udzielone w ostatnich Rozmaitościach naszych wiadomości o *grypie*, przytaczają: że grypa jestto wyraz francuzki, mający oznaczać jakiś kaprys, jakąś szczególną skłonność do czegoś, i że r. 1743 był zastosowany do epidemicznej febry katarowéj. Teraz niejaki dr. M. Masch robi w Nr. 46. Gazety Wiedeńskiéj z r. b. sprostowanie téj wiadomości, wracając wyrazowi *grypa* jego sławiańskie źródło. Wyraz ten pochodzi ze sławiańskiego języka od *chrypki*, *chrypienia*; u Sławian bowiem, w ich wędrówce ze wschodu na zachód, choroba ta najprzód się pojawiwszy, imię sławiańskie *chrypki* dostała. To jeszcze zasługuje na uwagę, że i dawniejsi autorowie lekarscy chorobę tę *catarrhus russius seu polonicus* nazywają, szczegół, który nie tylko pierwsze pojawienie się téj choroby pomiędzy narodem sławiańskim, ale oraz sławiańskie źródło jéj nazwy udowodniać się zdaje.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*